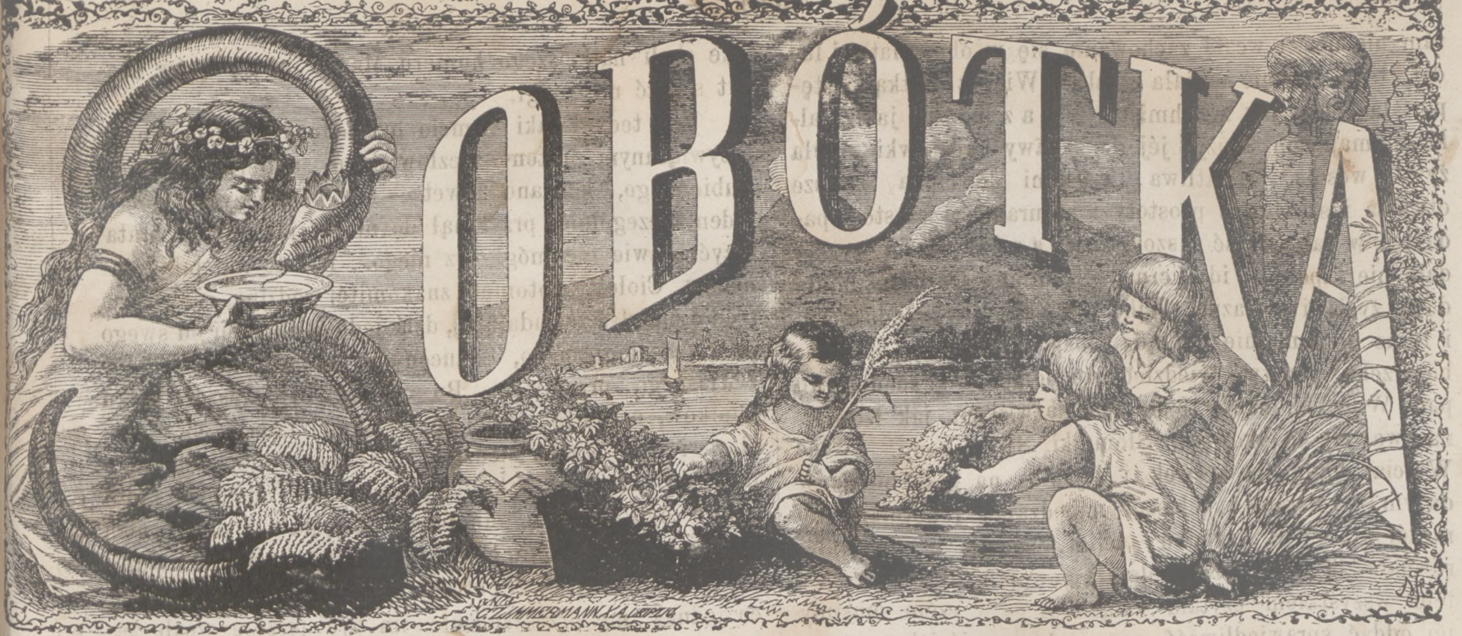


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 39. Poznań, dnia 24 Września 1870. Rok II

Nieszczęsny Legat.

(Powieść spółczesna)

przez

J. K. Turskiego.

....

I.

Lepianka.

Sielanką się powieść rozpoczyna — a skończy się?... tego nie mogę jeszcze powiedzieć teraz, żeby nie zepsuć wrażenia. Sielanka jéj początku będzie czuła, czasami rzewna, a w ogóle tkliwa i podobna do owych sielanek XVII wieku u nas komponowanych, kiedy Tatarzy plądrowali na południu, Szwedzi umizgali się do rządów w Inflanciech, Zebrzydowki rokoszował w środku, a Zygmunt III, catolicissimus, namyślał się, czy odpowiedzieć Żółkiewskiemu, czy nie, na jego zaprzysiężenie paktów z Moskwą o elekcyą na tron carski, osierocony po mężach Maryny, Władysława, późniéj IV. Taką będzie moja sielanka w téj powieści. Tak będzie odbijała od reszty jéj charakteru i wątku; — ale — choć to może nie zbyt harmonijnie, nie mogę zmieniać planu, bo dziwnym, a szczęśliwym dla powieściopisarza zbiegiem okoliczności, życie samo, i rzeczywistość taką caluteńką ułożyły mi powieść, że jeno siąść, wypisać wszystko, co się widziało — a rzecz będzie skończona. I nie bez interesu — moi państwo! Proszę tylko przeczytać do końca. Sielanka zaś więc moja rozpoczyna się w lepiance. Lepianka: to chata na pół wieśniacza, na pół przedmieściowéj pretensyi. Ma urok na sobie ten, który wieje w pieśni Karpińskiego, zaczynającéj się od słów: Otóż mój dom ubogi, te lepione ściany i t. d... ma pewien charakter idylliczny, rzewny, sielski;— a piękną i poetyczną nawet być może, jeśli tak jak ta, o któréj się tu wszystko opowie, położona jest na wzgórzu, odbiegającym od szeregu innych chat, lepianek i chałup — jeśli ma czyściejsze podwórko, obszerniejszy i parkanem nowym otoczony ogródek z altanką — a nadto wszystko, jeśli z okienek jéj widzisz jak na talerzu rozłożone przed sobą miasto — miasto drogie i święte, nie zapomniane nigdy, nigdy nie ośpiewane dość, ani w serdecznem słowie Edmunda, ani też w rzewnéj melodyi Wincentego... Jeżeli więc, krócéj mówiąc lepianka taka położoną jest w bliskości Krakowa, pośrodku między jego gwarem miejskim, a ciszą prawdziwie wioskową — w takim razie uroczy jakiś a poetyczny charakter odbija się na niéj, w skromnéj jéj szacie białéj i zielonością ogródka umajonéj. Taką też właśnie była lepianka pani Wileckiéj, wdowy po ś. p. Auguście Wileckim, zacnym człowieku i pracowitym rzemieślniku, który żonie swéj i dzieciom zostawił mająteczek w ruchomościach, oszacowany na 30,000 złotych polskich, z których procentu pani Wilecka opłacała dzierżawę lepianki. Pani Wilecka nie była jeszcze starą wdową, chociaż jéj synek Tomcio, pieszczoch i faworyt mamuni, miał już 21 lat skończonych, a Wikcia ośmnastą zaczynała wiosnę. Pani Wilecka pracowała w pospodarstwie od świtu do wieczora, i była rzeźwa, wesoła, rumiana, krzepka i silna; — a Tomcio za to wysypiał się do woli w swoim osobnym pokoiku, nie troszcząc się bynajmniéj o chléb powszedni, na który mamine ręce pracowały. Wikcia brunetka, o swych oczach uśmiechniętych i uśmiechających się zawsze, była to kozak dziewczyna. Umiała dosyć, bo się w klasztorze odznaczała w naukach, ale ponieważ

tam nie uczyli wcale zachowania się w obec matki i ludzi, tego też nie umiała wcale. Więc z matką postępowała sobie, jak z ochmistrzynią, a z ludźmi, jak z lalkami, mającemi służyć jéj do zabawy i rozrywki. Była żywa, wesoła, gadatliwa, czasami dowcipna, zawsze otwarta i szczera, z prostoty i naturalności często wpadająca w rabaszność i szorstkość, a z twarzyczki wyglądała nie szpetnie; idylliczno — rumiana jéj buzia miała dość życia i wyrazu. Wikcia już skończyła edukacyą, i teraz przy mamie dogląda gospodarstwa w Lepiance; bo trzeba państwu wiedzieć, że domek i gospodarstwo pani Wileckiéj nazywał się tém nazwiskem, jak Kraków nazywa się Krakowem, Słomniki Słomnikami. Więc Wikcia doglądała krówek i dojenia, na łąkę biegła w dużym tyrolskim kapelúszu, napędzając robotników do rączéj pracy; w ogródku pieliła, sadziła i podlewała, równała kląby i kląbiki, oplatała powojem altankę, i przy tém wszystkiém czytała książki, i – w czém musimy jéj oddać sprawiedliwość — umiała ocenić ich wartość, mając gust dobry, na wzorach lepszych zaprawiony. Tomcio wstępował w ślady Wikci, chociaż jako starszy, powinien być dla niéj wzorem. Ale Tomcio była to bierna dusza, było to serce miękkie, ulegające jak wosk gniotącemu je palcu. Nauki skończył on także; ale korzystać z nich nie umiał. Ani praktycznie nie brał się do żadnego zawodu, ani naukowo nie kształcił się wyżéj. — Pod sekretem jednak powiem państwu, że tego wszystkiego była przyczyną mama. Mama Tomciowi powiedziała tak: Słuchaj ty Tomeczku mój kochany (Tomcio był przystojny chłopak, także brunet, podobny do matki—nosił tylko bródkę hiszpańską i wąsiki ładne—smarował do sztywności—) ty się nauczyłeś tyle, ile ci potrzeba; teraz się więc nie męcz; póki ja żyję, możesz się nie bać o chleba kawałek; siedź o to przy mnie; będziesz moim podręcznym doradzcą i pomocnikiem, a o reszcie nie myśl. Tomcio usłuchał mamy, i o niczem nie myślał, spał długo, palił fajkę z pensyjki od mamy wyznaczonéj, czytał książki po Wikci, chodził do miasta z listami i meldunkiem nowych służących, odwiedzał swoich przyjaciół — i kochał się szalenie w nieznajoméj pannie w Krakowie, miłość swoją ograniczając i zaspakając rok trzeci już, tylko tém, że swą bogdankę widywał w kościele i potem odprowadzał do domu, idąc o 10 kroków za nią... Z tém wszystkiém Tomcio był szczęśliwym — i, szczerze powiedziawszy, najpoczciwszym w świecie człowiekiem. To tylko bieda, że się nie brał do niczego pożytecznego, i dla tego też właśnie, że prawie w naturze człowieka leży konieczność brania się do czegoś, brać się musiał do czegoś bądź koniecznie, a więc brał się do... kieliszka. Tomcio lubił wódeczkę i piwo; mama w domu miała zawsze gotową flaszeczkę pomarańczówki, Tomcio dostawał z niéj codziennie na drugie śniadanie kieliszeczek — ale nie więcéj jak jeden — za to kiedy poszedł do miasta, kiedy się spotkał z kolegami, którzy go bardzo lubili, lub z przyjaciołmi, których miał wielu, wtedy dopełniał ów jeden i jedyny kieliszeczek innemi jego braciszkami, i nieraz z tego dopełniania rodziły się głupstwa i niepotrzebne kłopoty, kończące się na rachunkach podawanych mamie za Tomcia, któremu kredytowano po sklepach, zawsze jednak do pewnéj tylko wysokości; — trzymano się w tym względzie skali najlepszego humoru Mamy, po za który kredyt sięgać nie mógł.

Ten tedy i taki Tomcio był jednak dobrym synem, przywiązanym bratem i człowiekiem najlepszego serca. Lubiono go, kochano nawet — a z pomiędzy przyjaciół jeden szczególniéj przylgnął do niego, jak brat do brata, i żyć prawie nie mógł bez niego. Był to nie jaki Stanisław Ciołek, potomek znakomitéj rodziny, nawet na tronie niegdyś zasiadającéj, dziś jednak odciętéj od swego pnia genealogicznego, i rzucony na pastwę własnéj pracy i własnego przemysłu. Bo chociaż było jeszcze kilku Ciołków, najniezawodniéj, z téj saméj familii co Stanisław, i jedni z nich siedzieli po dworach wiejskich jako panowie, inni po pałacach nawet jako magnaci, inni znowu byli panami kamienic, Stanisław wielu z nich nie znał z bliska, a niektórzy wcale nawet o jego istnieniu nie wiedzieli. Niektórzy z biedniejszych Ciołków, co jednak nie przeszkadzało im być jeszcze wcale zamożnymi, znali Stasia Ciołka, którego zubożali zupełnie rodzice, (ojciec podobno przegrał fortunę w karty i w loteryę) odumarli bardzo wcześnie, a który własną pracą wyrabiał sobie stanowisko w świecie; a pomagali mu nawet czasem, nieznacznie, nieobowiązująco na przyszłość, ani na zawsze; ale Staś nie dbał wiele o nich, bo sobie umiał radzić; w naukach był pierwszym w szkole, zdolności Pan Bóg dał wiele, szczęścia do ludzi nie mało, powierzchowność miłą, sympatyczną, przyciągającą. Więc nigdy nie udawał się do swoich krewnych lub imienników choćby i w najgwałtowniejszéj potrzebie, a oni też rzadko bardzo dopytywali się o niego.

Był to człowiek nie zbyt miękkiego serca, ale nie zupełnie zimny; więcéj się rządził rozumem, niż uczuciem, lecz pomimo to często bardzo nie jedno wrażenie silniejsze wstrząsnęło całym jego organizmem. Szczególniéj téż wielki urok miała dla niego natura ze swemi powabami, i dla tego téż nie raz po całych dniach przesiadywał w polu, w lasku olszowym, lub nawet w panieńskich skałach. Z Tomciem poznali się w szkołach, i koleżeństwo wyrodziło się u nich w ścisłą, bajeczną prawie przyjaźń. Tomcio dnia jednego nie mógł nie widzieć Stasia, — pokochał go, przylgnął do niego, całém swojem poczciwem sercem, Staś jednak nie wywzajemniał się mu zupełną i takąż samą miłością; on więcéj przyzwyczaił się do poczciwego chłopca, który na każde zawołanie posługiwał mu we wszystkiem, goniąc na posyłki ilekroć Staś zażądał — a wszystko to spełniał z ochotą najbezinteresowniejszéj przyjaźni, bez szemrania, z radością nawet w duszy, że mu się nadarza sposobnosc wyświadczenia swemu kochanemu Stasiowi, przysługi, będącéj zawsze u niego bagatelą. W domu przed mamą nie mógł się go dość nachwalić. W opowiadaniu Tomcia, Staś był ideałem doskonałości, talentem niezrównanym, kolegą i przyjacielem najprzykładniejszym — w ogóle człowiekiem przezacnym, przeszlachetnym. Mama wierzyła opowiadaniu swego jedynaka, i gniewała się nawet na Wikcię, która zawsze przerywała opowiadania Tomcia, robiąc swoje uszczypliwe uwagi, podejrzywające te nieskończone pochwały jego koledze dawane. Tomcio aż kłócił się czasem z Wikcią o to; a mama godziła zwaśnioną dziatwę, słodkiemi całusami.

Staś mieszkał na odludnéj uliczce przedmieścia We-

sołéj, Tomcio więc miał do niego blisko ćwierć mili drogi. Zdarzyło się, że pewnego wieczora Tomeczek powróciwszy do domu późno, z bolem głowy, zawróconéj nad miarę piwkiem tenczyńskiem, tak jakoś w nocy zaniemógł, że mama istotnie bała się o jaką chorobę. Nazajutrz dzień cały przeleżał w łóżku, i mała z początku gorączka, wzmogła się znowu pod wieczór. Ale nie ból głowy, nie zmartwienie, jakie sprawił matce, dręczyło serce Tomcia; — jego bolało nawięcéj to, że nie był cały dzień u Stasia, i, że jak mama koniecznie sobie życzyła, jeszcze parę dni poleżeć będzie musiał.

— No — niechże się teraz pokaże swoim przyjaciołom, mówiła Wikcia do brata, niechże przyjdzie do ciebie choć raz, kiedy tak bez siebie wyżyć nie możecie.

— O! on by pewnie przyszedł, odpowiedział na to jéj braciszek, ale może i nie wie dobrze, gdzie mieszkamy, a powtóre: on miewa lekcye i wykłady w różnych godzinach, to nie może sobie całego porządku dziennego przerywać.

— Już to ty zawsze masz obronę dla twego przyjaciela, rzekła na to z pewnym grymasem Wikcia, ale ja ta nie wierzę w taką przyjaźń, co tylko z jednéj strony jest tak gorącą. Gdyby i ten pan Stanisław tak dbał o ciebie, jak ty o niego, tobym to może uwierzyła. Przyrostek ta, używany w mowie ludowéj w Krakowskiem, był bardzo często w użyciu u Wikci; lecz ona nie uważała nic na to, i nie troszczyła się o poprawność mowy. We względzie jednak sądu o Stanisławie miała trochę instynktowéj racyi. Chociaż bowiem Tomcio trzy dni przesiedzieć musiał w domu, Stasia u niego nie było. Chory cierpiał na tém, ale nie martwiło go to, że Staś o nim nie pamiętał, jeno to, że go dni parę nie widział. Nie był to wcale interesowny przyjaciel, i nie wymagał za swoją przyjaźń nawet wzajemności. Była to abnegacya rzadkiego rodzaju. Według mnie bowiem, przyjaźń i miłość nie mogą się obejść bez wzajemności.

Po wydobrzeniu, które Tomcia zupełnie na zdrowiu wyrestaurowało, pierwszą jego podróżą do miasta, była droga na Wesołą do Stasia. Powitanie ich było serdeczne; ale Staś nie wiele zdradzał obawy o swego przyjaciela; owszem zaręczał Tomciowi, że się nie bał o niego, i pewny był, że zbyteczna jakaś birbantka musiała go przyprawić o ból głowy, dla którego mama nie wypuszczała go z domu przez dni kilka. Tomcia to uspokoiło: nie mógł jednakże zataić przed Stasiem, że w domu gdzie on wiele opowiadał o dobroci swego przyjaciela, spodziewano się jego odwiedzin przez te dni. — A moja siostra, mówił Tomek, siedząc na łóżku przyjaciela, w jego nogach, aż się kłóciła ze mną o ciebie. Staś słuchał téj wymówki zrazu obojętnie, ale po chwili zaświtała mu w głowie myśl jakaś, w skutek któréj postanowił odwiedzić Lepiankę.

— Wiesz co Tomciu, muszę ja pójść tam kiedy do was, i z twoją siostrą wykłócić się za ciebie. Boś ty się kłócił zamnie, aleś pewno ustąpił. Ja nie ustąpię.

— O! dobrze mój kochany Stasiu — rz kł wzruszony zaraz Tomcio, dawno cię już o to proszę; a zrobisz mi tém przyjemność. —

W dni kilka po téj rozmowie Staś był z pierwszą wizytą w Lepiance. Przyjęto go tam serdecznie, i jemu się Lepianka bardzo podobała — zachwycał się jéj pięknem położeniem, widokiem na Kraków, a nadewszystko jéj charakterem na pół sielskim, działającym tak poetycznie na wszystkie wrażliwe dusze. Staś odtąd bywał częstym gościem pani Wileckiéj, gdyż, jak się czytelnik zapewne domyśla, prócz Lepianki, podobała mu się w niéj Wikcia. Jego wyobraźnia z apoteozowała Lepiankę w piękność i urok Soplicowa, a jego mieszkankę ustroiła w loczki Zosine — tak, że Staś nigdy odtąd nie myślał o siostrze swego przyjaciela inaczéj, jak tylko wspomnieniami Zosi z pana Tadeusza, ustępami nawet z tego cudnego poematu malując sobie jéj obraz.

Następstwem tego marzenia było, że Staś, widząc w Wikci piękną Zosię z Soplicowa, w sobie widział nie kogo innego, jeno pana Tadeusza. I zdało mu się, że jego nazwisko nawet nadawało mu do tego marzenia zupełne prawo; lecz przedewszystkiem, wiedząc, że pan Tadeusz zakochał się w Zosi po uszy, sam był najkompletniéj przekonany, że się kocha niezawodnie w Wikci. Właściwość to marzenia i urojeń, że plączą nam myśli i operują do tego stopnia, iż po niejakim czasie mara nasza, wydaje się nam rzeczywistością. Więc téż Stanisław uwierzył w swoje urojenie I wszystkie spostrzegał na sobie te same symptomata, jakiemi tak ślicznie odmalował poeta miłość Tadeuszowską. Więc stronił od ludzi, myślał sam nie wiedząc o czém, uciekał w pole, zagapiał się i zapominał — w ogóle wszystko to robił, co pan Tadeusz, i był pewien, że się szalenie zakochał w Wikci. A on tymczasem, proszę państwa dostarczył tylko tém zjawiskiem swoim, nowemu jakiemuś Demonomanowi, pięknego przykładu na sobie. Tadeusz był drugiem ja, wymarzonem, nie mającem najmniejszego organicznego związku z jego duszą, sercem i krwią nawet: i ten to drugoistny, Tadeuszowy Staś, kochał się także nie w Wikci, ale w apoteozie z niéj urobionéj w Zosię. — Tak więc stało się, iż reminiscencyą Tadeusz znów kochał Zosię — a Staś z Wikcią oddawali ich pomnikowym postaciom, z natchnienia wieszcza ukutym, cześć wspomnienia i najwznioślejszą krytykę —

Nie byłoż to więc Sielanką? —

Mama Wikci z radością i rozrzewnieniem przyglądała się panu Stanisławowi i jego uwielbianiu swéj córuni, a co nadewszystko cieszyło ją i zachwycało, że się dobrze wywiedziała w mieście o znakomitém pochodzeniu swego przyszłego zięcia, i pewną prawie miała nadzieję, że na niego kiedyś spadnie koniecznie znaczna jakaś scheda, po jednym z bezdzietnych jego kuzynów. O wszystko to wypytywała się pani Wilecka po mieście u przyjaciołek i znajomych, mniejszéj i większéj kategoryi rodowéj, i wszystkiego dochodziła z sumiennością sędziego śledczego, który miał stanowczy wydać wyrok. Wynikło zaś ztąd, iż nie tylko, że serdecznie przyjmowała pana Stanisława, zapraszając go do częstszych odwiedzin i częstując wyborną kawką; — ale nadto Wikci swojéj, nie wiedzieć dla czego nie mającéj do swego konkurenta żadnego pociągu, perswadowała co sił, aby była grzecznie szą dla niego i nie opuszczała partyi, do któréj podobna nie prędko jéj się nadarzy. Co do Wikci musimy to wyznać szczerze, że jéj zdrowy wzrok rozsądku i wrodzony instynkt kobiecy, odgadły w pana Stanisława uczuciach, kaprys tylko jakiś poetyczny, i nie nazywała ich nigdy miłością jeno grymasem urojenia i egzaltacyą.

Pan Stanisław tego w niej nie domyślał się wcale. Jemu bowiem ani przez myśl nie przeszło, aby ta, którą on raczy nazwać swoją kochanką mogła nie cieszyć się z tego szczęścia, lub tém bardziéj gardzić jego zaszczytną ofiarą ręki i znakomitego imienia. Był on pewien, że Wikcia, wiedząc o jego ku sobie skłonnościach, szalenie w nim się kocha. I dla tego téż nie przypuszczając podobnego wypadku, na zasadzie swéj wiary i przekonania, trwał ciągle w swéj Tadeuszowskiéj miłości — pewnym będąc najpomyślniéjszych jéj skutków. Powiemy nawet na ucho czytelnikom, iż marząc o swojem weselu, koniecznie układał sobie w myśli plan takiego samego Serwisu, jaki tak cudnie i fantastycznie opisał Mickiewicz, korciło go tylko, że nie mógł wynaleść takiego cukiernika, któryby mu się podjął roboty podobnego serwisu. Jankla bo dawno już miał namówionego; był nim Icek, skupujący starzyznę, który przypadkiem zaznajomiwszy się z panem Stanisławem, przy kupnie od niego staréj garderoby, pochwalił się z swoim talentem gry na cymbałach. — Aj waj — mówił Icek cmokając wargami po azyatycku — ja takie śliczne tańce umiem wybijać na cymbałach, żeby się Jegomość za głowę złapał. Staś sprzedał mu za pół darmo starzyznę, w dodatku odczytał z Pana Tadeusza ustęp: Było cymbalistów wielu... a w końcu wymógł na żydku przyrzeczenie, że przyjdzie do niego i zagra mu kiedy na cymbałach. Icek przyszedł, zarzempolił — Staś się unosił — i koniec końców, był pewien, że będzie miał Jankla na weselu. Wszystko więc u niego szło po Tadeuszowsku; — był on przerabiaczem poematu na dramat, o tyle mniéj winnym od innych, że tego dramatu nie dawał na scenę, ale go grał sam przed sobą i w sobie.—

W Lepiance dochodziły rzeczy coraz daléj. Stanisław, choć wyraźnie nie oświadczył się jeszcze, wyjawił jednak już zamiar i pragnienie połączenia się z taką istotą, któràby kochał nad życie. Rozumie się, iż mama poznała zaraz do czego pije i powiedziała mu wtedy.— Mój panie Stanisławie, daruj pan, ale ja pana uważam tak, jak własnego syna; jesteś pan przyjacielem mego Tomcia, i przyznam ci się, podobasz mi się bardzo z tą twoją serdecznością. My jesteśmy biedni i, jak dzisiaj prostego nazwiska; pan zaś pochodzisz ze szlachty, o czém ja wiem, chociażeś pan nam tego nie mówił. Że ci się, mój panie Stanisławie podoba moja Wikcia, to mię, jako jéj matkę serdecznie cieszy; ale ci z góry powiedzieć muszę, że ona chudzina nic nie ma, i że chyba oboje poczekać jeszcze musicie, dopóki się jakie tobie nie trafi utrzymanie. Mówię to szczerze i z serca, jak matka— bo ja cię kocham mój panie Stanisławie, jak własne dziecko. Tu pani Wilecka zapłakała, Staś pocałował ją w rękę, Wikcia się zarumieniła, a Tomcio wyszedł z pokoju zacierając ręce. Na tem skończyła się familijna scena — i odtąd pan Stanisław bywał w Lepiance jako uznany konkurent do ręki Wikci. —

Wojna.

IV.

Już to duma narodowa Francuzów ciężkich doznała ciosów w téj wojnie. Ani jedno zwycięztwo nie uświetniło francuzkiego oręża, jedna armia osadzona w Metz, druga wzięta do niewoli zapełnia kazamaty fortec pruskich, a zwycięzki nieprzyjaciel dotarł do środka kraju i obległ Paryż. Ten piękny Paryż tak przystrojony przez ostatni rząd, że w zachwycenie wprawiał wędrowców całego świata, którzy przed trzema laty zgromadzili się tam na wystawie powszechnéj; ten Paryż, do którego zdążał równie uczony i artysta jak i ten, który pragnął zabaw i rozkoszy, gdyż ta stolica ucywilizowanego świata mogła zadowolnić pragnienia każdego; Paryż jest oblężony i wystawiony na wszystkie okropności wojny, jakich na sobie nieszczęśliwy Strassburg już doświadczył. Fakt ten wstrząsnął nietylko Francyą, lecz całą Europą, gdyż i nieprzyjaciele Francyi przyznać muszą, że Paryż przez długie lata był nietylko sercem Francyi, lecz całéj Europy. Bo jak w sercu odświeża się krew i z niego się rozbiega po wenach i arteryach ciała ludzkiego ożywczym prądem, tak w Paryżu ześrodkowały się pragnienia całéj ludzkości i z niego wybiegały na świat wielkie idee, które poruszały ludami i prowadziły je na drodze postępu. Czyż i w Paryżu, jak w Strassburgu, pójdą z dymem biblioteki i muzea, a bomby rozwalą pałace i kościoły, te granitowe pomniki uczucia religijnego i geniuszu ludzkości?

Któż się spodziewał przed niedawnym jeszcze czasem, że taki obrot wezmą sprawy wojenne? Z pewnością najmniéj spodziewali się tego Paryżanie. Mówiono wprawdzie dużo na bulwarach o obronie Paryża, ale na seryo nikt o tem nie myślał. Po bitwie pod Metz zaczęto nawet sposobić się do téj obrony i powoli zaopatrzać fortyfikacye Paryzkie w działa i materyał wojenny, lecz liczono na zwycięztwo Mac Mahona, Paryż więc jak dawniéj bawił i śmiał się i żartował z Prusaków. Dopiero klęska sedańska zmieniła wszystko. Droga do Paryża stanęła otworem armii pruskiéj, a przerażeni mieszkańcy nadsekwańskiéj stolicy wyglądali z niepokojem, rychło na horyzoncie ukaże się lanca pruskiego ułana. Złowrogi krzyk: nieprzyjaciel przed bramami! wstrząsnął dwumilionową ludnością i napełnił ją w części trwogą, lecz we większéj jeszcze obudził on drzemiącą gdzieś w głębi serca odwagę bohaterską i rozniecił wszystkie patryotyczne uczucia. Paryż postanowił bronić się do upadłego.

Nowy republikancki rząd wziął się, z odpowiednią niebezpieczeństwu energią do dzieła. Pościągał co prędzéj resztki armii, uzbroił gwardję narodową Paryża, ściągnął do stolicy gwardyę departamentową prowincyi. Wydalił z miasta wszytkich,którzy wytrwałéj obronie przeszkadzać by mogli, ułatwił bojaźliwym wyjazd na południe Francyi, zaopatrzył olbrzymie miasto w żywność i uzupełnił fortyfikacye Paryża, które się stały ostatnim szańcem, broniącym honoru i wielkości Francyi.

Jedyna to z wielkich stolic Europy, która jest obronną, a gigantyczne jéj fortyfikacye zasługują ze wszech miar na uwagę, zwłaszcza, że w najbliższych dniach musi obrona ich, lub zdobycie wpłynąć przeważnie na los tegorocznéj wojny. W wiekach średnich był Paryż miastem obronnem, lecz mury ówczesne przeżyły swój czas i służyły późniéj jedynie za zaporą dla kontrabandy, a znikły ostatecznie w roku 1860. Ani XVII, ani XVIII wiek nie pomyślał o ufortyfikowaniu Paryża, a rzeczpospolita i pierwsze cesarstwo, upojone zwycięztwami odnoszonemi daleko po za granicami kraju, nie uczuły nawet potrzeby ubezpieczenia się wewnątrz. Dopiero klęski 1814 r. otworzyły oczy Napoleonowi I. i zrozumiał on, że ufortyfikowany Paryż byłby niepomiernie

wzmocnił jego siły obronne. To też podczas stu dni, w roku 1815, nakazał on rozpocząć roboty fortyfikacyjne, lecz wypadki ubiegły go, a rząd restauracyi był za słaby, aby wykonać zamiary cesarza. Przecież liczne broszury, ogłoszone w tym czasie, oswoiły Paryż z tą myślą, a rewolucya lipcowa, bojąc się krucyaty ś-go przymierza, podjęła roboty projektowane przez Napoleona I. Gdy ta obawa przeminęła, zaprzestano dalszych robót, lecz Ludwik Filip nie zarzucił już tego planu i w sztabie generalnym francuzkim, równie jak i w izbie prawodawczéj, rozprawiano przez dziesięć lat nad tem, jakiego rodzaju fortyfikacye są dla Paryża najstosowniejszemi. Nagle, r. 1840 nowa koalicya zdawała się zagrażać Francyi. Fakt ten usunął wszelkie wachania i ówczesnemu prezesowi ministerym, p. Thiersowi, udało się uzyskać od izby pozwolenie ufortyfikowania stolicy.

Paryż leży w głębokiéj dolinie, otoczonéj wzgórzami i przeciętéj w północno-zachodnim kierunku Sekwaną, która pod samém miastem łączy się z Marną, a przekroczywszy następnie powtórnie wały miejskie około Issy, okrąża wielkim łukiem zachodnio-północną część Paryża i dopiero pod St. Denis zwraca się na południe zashód i opłynąwszy w ten posób 500' wysoką górę Mont Valerien, powraca do pierwotnego kierunku swego biegu. Północno-wschodniéj strony miasta nie broni, jak zachodniéj 300' szerokie łożysko Sekwany, za to wznoszą się na północ od Marny strome wzgórza, których północno-zachodnie kończyny stanowią leżące już w obrębie miejskim Belleville i Montmartre. Na tych to, pomiędzy Marną a kanałem de l'Ourcq leżących wzgórzach wznoszą się: Fort de Nogent, Fort de Rosny, Fort de Noisy i Fort de Romainville, wzmocnione nadto kilku redutami i cytadelą Vincennes, leżącą w ich tyle i stanowiącą główny skład wojenny. Od kanału de l'Ourcq ku północy ciągnie się płaszczyzna aż do St. Denis, obronna przecież kanałem de St. Denis, najeżonym redutami, i w dwóch swych przeciwległych końcach fortem d'Aubervilliers, a na północy trzema fortami otaczającemi miasto St. Denis. Ponieważ pojedyncze forty broniące północno-wschodniéj strony Paryża, mogą się wspierać wzajemnie ogniem działowym, przedstawia



Szałas Pasterski w Tatrach.



Mieszkanie w Tatrach.

ta strona najwięcéj trudności dla oblegającego. Inaczéj jest z zachodu i południa. Zachodniéj strony Paryża broni prócz płynącéj tam Sekwany tylko Fort Mt. Valerien, silny prawda i leżący na wysokiem wzgórzu, lecz od St. Denis $1\frac{1}{2}$ mili oddalony. Przypuścić jednak należy, że rząd postarał się o wzmocnienie siły obronnéj téj strony, a powtóre, prawdopodobnie nie od zachodu rozpoczną Prusacy działania oblężnicze, gdyżby w tym razie narazili swe linie odwrotu. Na południowéj stronie wznoszą się: Fort d'Issy, Fort de Vauvres, Fort de Montrouge, Fort de Bicetre, Fort d'Ivry i na półwyspie pomiędzy Sekwaną a Marną Fort de Charenton. Pomimo to jednak, że tak blizko się do siebie przysunęły te forty, nie przedstawiają one tak wielkiéj siły oporu, jak forty wschodnie, gdyż na południe od nich wznoszą się wzgórza, z których z teraźniejszych dział ostrzeliwane być mogą.

Zatém 15 oddzielnych, o $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ mili drogi przed wały miejskie wysuniętych fortów broni Paryża i jeżeli tylko jaką taką energią rozwiną Francuzi przy obronie, mogą i powinni oprzeć się Prusakom. Podług niechętnego Francyi korespondenta wiedeńskiéj „Pressy,“ znajduje się w Paryżu 80,000 wojska regularnegó, 16,000 wolnych strzelców, 100,000 gwardyi narodowéj i ruchoméj paryzkiéj, 60,000 gwardyi ruchoméj z departamentów: razem więc 256,000 ludzi. Wojska te okazują, podług tego samego świadka, zapał i chęć poświęcenia, nietylko wojsko regularne, ale i gwardye narodowe. Generał Trochu, naczelny dowódzca, cieszy się ogólném zaufaniem wojska, a ma on do pomocy generała Chaband-Latour, który w roku 1840 należał do twórców tych fortyfikacyi.

Chociażby zaś niektóre z wspomnianych wyżéj fortów dostały się w ręce nieprzyjaciela, to i wtedy jeszcze dalsza obrona jest możliwą. W tyle bowiem tych fortykacyi opasuje miasto dokoła wał 31' wysoki, podmurowany, wzmocniony 94 bastjonami i otoczony 70' szeroką fossą, która może być napełniona wodą. Za tym wałem ciągnie się w okół miasta bita droga i kolej żelazna, za pomocą których, z łatwością można przerzucać wojska z jednego punktu miasta na drugi.

Francuzi dodają, iż po za tym wałem pozostają im

jeszcze dwie linie obrony, t. j. mur miejski około 1000 do 5000' po za wałami się ciągnący, a w ostateczności barykady, które już wielką rolę w dziejach Francyi odegrały. Nie pragniemy bynajmniéj, aby przyszło do téj ostateczności, gdyż ruina miasta byłaby koniecznem walki ulicznéj następstwem; lecz Paryżanie powinni pamiętać, że ich miasto jest ostatnią Francyi obroną. Padnie Paryż to i Francya runie bezwładna do stóp zwycięzcy, który natenczas podyktuje jéj warunki pokoju; dzielna obrona może honorowy pokój Francyi wyjednać.

Z pamiętnika obłąkanéj.

(Dokończenie.)

„Nie wiem“ — tak się zaczyna opowiadanie, — „czy jestem przy zdrowych zmysłach, czy szaloną. Nie wiem czy nią nie byłam kiedy tę zbrodnię popełniłam. Obłąkanie jest familijném u nas; moja matka umarła w szaleństwie; stary hrabia, mój dziadek był spokojnym warjatem, pilnowano go w zamku przodków, ażeby świat o tem warjactwie się nie dowiedział. Jeśli byłam szalona, nie jestem za to odpowiedzialną i nie mogę być sądzona; jeśli zaś przeciwnie, to już dawno odpokutowałam, zadając sobie długie i okropne męczarnie.

Przebyć całe życia w pokoju, który stał się grobem, wszędzie mieć za towarzyszkę trumnę niepochowaną, żyć z umarłym, jeść obok szkieletu, przyjmować pożywienie z ręki krwawéj i na chwilę z widokiem tym się nierozstać, jest to mała część mojéj kary. Nigdy nie widzę nieba błękitnego ani zielonéj darni, wszystko ma krwawy kolor. A jednakże krwi nie przelałam. O nie! tego nie uczyniłam.

Powzięłam dla téj kobiety uczucie przyjaźni. Chciałabym chętnie z nią mówić, ale nie mogę méj tajemnicy wyjawić. Zdaje się ona kochać swego męża, ale nie tak jak ja mojego kochałam. Jakżeż ja go kochałam? Tak jak go dziś jeszcze kocham: namiętnie, dziko, okropnie, szalenie, nigdy nie mogę wzroku od jego trumny oderwać, wśród ciemnéj nocy wstaję, ażeby to zimne drzewo uściskać. Czuję, że żal i namiętność serce trawią. Dziś, tak jak i wówczas, płakać nie mogę. Moja rozpacz jest zimna i bez łez. Lecz to tylko powierzchownie; wiecznie byłam i jestem wulkanem trawiącym życie powoli, powoli, Boże jak powoli! Może to tylko kara sprawiedliwa.

Za młodu byłam piękna i utalentowana. Com przedsięwzięła, wszystko mi się udawało i nic mi nie było za trudnem. Uczyłam się astrologii i ułożyłam mój horoskop. Widziałam już wtenczas przeznaczenie ale, go nie pojęłam. Gdybyśmy mogli przewidzieć naszą przyszłość, na coby nam się to przydało? Czy byłoby to dla nas przestrogą i nauką? Nie! przeznaczenie jest przeznaczenim, na ślepo biegniemy za niem.

Żyłam z moją nauczycielką w samotności na wsi, miałam zaledwie piętnaście lat, gdym spotkała mego przyszłego małżonka. Rysowałam ścięty pień w lasku, kiedy on polując tam się zjawił. Nasze oczy spotkały się z sobą i pokochaliśmy się. Był piękny! Włosy miał jasne, gęste i kędzierzawe, oko błękitne jak niebo, a twarz nieledwie bielszą i delikatniejszą od mojéj. Głos giętki, pełny i męzki. Dużo podróżował i był równie jak ja oczytany. Nie od razu to wszystko odkryłam; aleśmy się pokochali skoro tylko nasze oczy się spotkały. Późniéj czuliśmy potrzebę wspólnéj rozmowy. Koniec końców Lionel udał się do mego ojca, którego obowiązki wstrzymywały przy parlamencie w Londynie.

Żaden ojciec nie mógł odmówić takiemu konkurentowi, jakim był Lionel; ale znalazła się przeszkoda po stronie Lionela; jego ojcie Lord (nie chcę wymienić żadnego nazwiska) odmówił pozwolenia na związek swego syna z córką warjatki i wnuczką idioty.

Ale Lionel i ja kochaliśmy się do szaleństwa. Potajemnie opuściliśmy dom, pobraliśmy się i uciekliśmy na stały ląd, ażeby uniknąć wymówek rozgniewanych krewnych. Gdym przyzwoliła na ucieczkę, szukałam tłomoka do zapakowania rzeczy, które zamierzałam zabrać ze sobą. W wozowni znalazłam kufer, ktory późniéj tak okropną rolę odegrał w nieszczęsnéj historyi mego życia. Udało mi się potajemnie ułożyć w nim co potrzebowałam i wśród ciszy nocnéj obudziłam młodego dżokieja, który spał nad stajnią, ofiarowałam mu znaczne wynagrodzenia za ułatwienie ucieczki do miejsca, w którem mię Lionel oczekiwał.

Sługa naszéj rodziny byłby się może opierał wypełnić moją wolę, ale sam był w tym wieku, w którym podobne postępki wspułczucie znajdują; przyjął nagrodę i wkrótce w raz z kufrem opuściłam dom rodzicielski. Sprzykrzywszy podróż po obcych krajach powróciliśmy do Anglii i najęliśmy mały domek nad brzegie morza, niedaleko Broadstairs. Tam sądziliśmy się bezpiecznymi przed spotkaniem ze znajomymi. Mój mąż chodził co rana do kąpieli nad brzeg morza, a ja oczekiwałam w ogrodzie jego powrotu. Znajdowaliśmy się dni kilka w Broadstairs, gdy nagle mi się zdało żem spostrzegła zmianę w postępowaniu mego męża. Dowiedziawszy się, że chociaż codziennie chodził na wybrzeże zaprzestał już się kąpać, domyśliwałam się jakiejś tajemnicy. Gdym tak rozmyślając siedziała w domu, opanowała mną zazdrość i postanowiłam go śledzić. Pewnego dnia gdy wyszedł, pobiegłam boczną dróżką na wzgórze, zkąd mogłam widzieć wybrzeże. Ujrzałam go idącego przy boku młodéj osoby w moim wieku. Po niejakim czasie opuścili wybrzeże i zbliżyli się ku domowi. Poszłam za niemi, byli nadto zajęci sobą, ażeby mogli mię spostrzedz. Usiedli na ławce w blizkości pola zasianego żytem, w którem się ukryłam. Nie byłam dosyć blizko ażeby módz słyszeć ich rozmowę, ale widziałam jak trzymał jéj ręce i, że je całował przy rostaniu. Przez dni kilka téż same obserwacye powtarzałam. Ona nigdy w jego towarzystwie długo pozostać nie chciała, jakby przez obawę i niepokój. Nie byłoż to dosyć? Nie byłoż to za wiele do zniesienia dla młodéj i kochającéj kobiety?

Pewnego poranku spostrzegłam świeżo zerwany bukiet na stole, przy którym dopiero co był pisał. Pełna podejrzliwości odwróciłam jego odwagę na inny punkt pokoju i szybko przeczytałam słowa, które napisał na kawałku papieru:

„Muszę się spotkać z tobą na wybrzeżu o zachodzie słońca; jeśli twoje plany się udały, opuścimy jutro Broadstairs.“

Lionel wróciwszy do swego biórka, włożył papier do kieszeni, po zem wziął kwiaty i oddalił się. Nie byłoż to łatwe do zgadnienia, że bilet ukrytym będzie w bukiecie, a dla kogo? Czyż nie widziałam téj złotowłoséj syreny, z miłą dziecięcą twarzą, która go oczarowała?

Poranek ten spędziłam w domu; rozmyślając nad tem co zaszło postanowiłem przeszkodzić schadzce. Miałamże mu wymówić wiarołomność, obsypać wyrzutami i prośbami? Czyżby się to na co przydało? Miałamże się posunąć do tego kroku i nie zwyciężyć? nie nigdy! Gdy się zbliżyła pora obiadowa, przyszła mi głupia, podła myśl do głowy. Musiałam być wtedy szaloną, wiem dziś, że byłam szaloną. Rozśmiałam się gdym sobie przypomniała małą flaszeczkę laudanum, która stała na kominku w moim gabinecie. Wylałam ją w butelkę

wina. Lionel pił wino, ja nie. Po obiedzie usnął. Przyniesiono kawę, jego sen trwał wciąż. Stało się podług mego życzenia, siedziałam przy nim i w twarz się wpatrywałam. Godziny powoli upływały. Kazałam służbie iść na spoczynek i dom został pogrążony w głębokiéj ciszy. Było już późno, świece wypaliły się do szczętu, on ciągle spał. Wybiła pierwsza, druga; zaczęło dnieć. Podiosłam żaluzje, bo już niepokuj mną ogarnął. Światło dzienne oblało nas; padło na fotel i na twarz już — bez życia.

Upadłem do nóg jego, próbowałam modlić się, lecz myśli i sił mi zbrakło. Zawróciło mi się w głowie, byłam szalona. Bóg mi świadkiem pragnęłam tylko uśpić męża, ażeby przeszkodzić schadzce i odwlec żądanie usprawiedliwienia się, któreį wystawiałam dla siebie gorzkie upokarzające i gwałtowne.

Klęczałam przed ciałem męża i śmiałam się. Nie wiedziałam, że się śmieję: zdawało mi się, że to głos obcego jakiegoś ducha z moich ust wychodzi, tak dziwnie ten śmiech brzał mi w uszach. Nagle przestraszyły mię kroki schodzącéj ze schodów służby. Byłam sama przy trupie, powiedzieliby żem go zamordowała; a to piękne dziewcze złotowłose, patrzałoby na śmierć moją pod rusztowaniem.

Zkąd siły znalazłam; nie wiem Porwałam Lionela i zaniosłam go do sypialni, potem otworzyłam okna i zamknęłam się z moją ofiarą. Położyłam go na ziemi przy kufrze i uklękłam.

Nagle zabłysła mi nowa myśl. Otworzyłam kufer, wyjęłam z niego suknie i rzuciłam na łóżko. Jakieś stare prześcieradło wpadło mi w ręce, przykryłam im Lionela i włożyłam go do kufra Widocznem było, że nie dawno skończył, bo członki nie skrzepły jeszcze, i dały się nagiąć stosownie do miejsca. Potem zamknąwszy kufer ubrałam się i poszłam na śniadanie.

Jakiś bilecik leżał na stole. Włożony był w lila kopertę i zaadresowany kobiecą ręką. Skorom go spostrzegła, na nowo obudziła się zazdrość i gniew. Cieszyłam się, że Lionel nie żyje. Wzięłam bilet, który zapewne owa pani jasnowłosa przysłać musiała, rozerwałam pieczątkę i zaczęłam czytać:

„Drogi Lionelu!“ — drogi Lionelu! litery zaczęły mi się kręcić przed oczyma; ona śmiała go nazwać drogim Lionelem.

„Drogi Lionelu! broniłam Twéj sprawy przed rodzicami; nie mogę ich zmiękczyć, a ponieważ podejrzywają, że się z Tobą widzieć musiałam, odebrała nasza ochmistrzyni rozkaz, odwieść dzieci do domu, pierwszym pociągiem. Lecz nie rozpaczaj, bo jeśli chwilowo nic uczynić nie zdołałam, późniéj może mi się uda Ciebie z nimi pogodzić. Obawiam się, czy źle nie robię pisząc do Ciebie, ale nie wątp nigdy o przywiązaniu Twéj

kochającéj siostry

Edith.“

Jego siostra! czyż może być coś okropniejszego! To więc była jego ukochana siostra Edith, o któréj tyle mi opowiadał, a któréj nie znałam! Ach! czemuż taił przedemną, że się z nią widuje? I to było mi wkrótce jasnem. Czyż mógł mnie wystawić na to upokarzające uczucie, że jego siostra prosić musi, ażeby mnie jego familia przyjęła i za jego żonę uznała, i że on zmuszony jest potajemnie ze siostrą się widywać, ponieważ się ze mną ożenił?

A Lionel już nie żył! Strach mię ogarnął. Musiałam uciekać, musiałam czyn mój ukryć. Dwadzieścia mil od mego pomieszkania znajdował się dom zupełnie osamotniony wśród lasu. Powiadano, że w nim dusza pokutuje i nikt z wieśniaków nie śmiał tam się przybliżyć, tém mniéj zamieszkać. Pod przybraném nazwiskiem napisałam do właściciela, prosząc go o odnajęcie mi tego domu za tanie komorne. Byłabym przyzwoliła na każdą cenę, ale chciałam podać prawdopodobną przyczynę mego oryginalnego oboru. Odebrałam przyzwalającą odpowiedź odwrotną pocztą.

Tymczasowo oświadczyłam służbie, że pan bardzo wcześnie do miasta wyjechał, gdzie się za nim udać miałam, ponieważ wypadła niespodziewana i długa podróż. Gdym odebrała list od właściciela domu, jużem popłaciła wszystkie rachunki i pokończyła przygotowania do wyjazdu.

Udałam się spiesznie do Londynu, sprzedałam nasze bogate srebra i wszystko com posiadała, wyjąwszy trochę bielizny, kilku kosztowności i strasznego sarkofagu, który był odtąd przedmiotem méj nieustannéj straży. Pragnęłam jak najspiesznéj dostać się do mego mieszkania, bo wiedziałam, że opóźnienie kilku dni mogło łatwo całą tę sprawę odkryć. Umyślnie jednakowoż objechałam daléj, ażeby zapobiedz wszelkim poszukiwaniom, choć to było prawie niepodobieństwem przy moim stosunku z familią.

Kufer został umieszczony na poddaszu w moim nowym domu, i gdy kobiety, które uprosiłam mimo obawy zaklętego domu, pokończyły potrzebne przygotowania do zamieszkania, oddaliły się, pozostałam zupełnie samą.

Kufer, nie wzbudził żadnego podejrzenia, myślano że zawiera książki. W tym domu przemieszkałam długie lata bez żywéj duszy, aż nareszcie po śmierci właściciela, nowy posiedziciel postanowił dom rozrzucić; odtąd jeździłam z moim kufrem od miejsca do miejsca, jakby furiami gnana, nigdzie nie znalazłszy spokoju, pytając się ciągle siebie saméj: „Czym przy zmysłach czy szalona?“

Napisawszy historyą życia i przypomniawszy pojedyńcze wypadki śmierci Lionela, wpadłam na straszne podejrzenie, które przewyższa okropnością wszystko co tu opisałam; podejrzenie, które mnie wprowadziło w stan obecny. Przyszło mi na myśl, że Lionel żył jeszcze, gdym go do kufra kładła. Był on tylko odurzony narkotykiem, ale żył jeszcze — Lionel mój ukochany został ręką swéj szalonéj żony żywem pochowany — a jego młoda, szesnastoletnia żona, ażeby zbrodnię pokutą zagładzić, zamknęła się ze swą ofiarą na całe życie. Dajcie jéj umrzeć!“

ROZMAITOŚCI.

Illustrowany Przewodnik Tatr, Pienin i Szczawnic.

(Z 2 rycinami.)

Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego.

Do najnowszych i ciekawych publikacyi w literaturze naszéj, należy illustrowany przewodnik po Tatrach, pana Walerego Eljasza. „Każdy z nas słyszał lub czytał“ mówi pan Eljasz „opowiadania o Tatrach, lecz nie wielu wie, czem one są w ścisłem znaczeniu swéj nazwy, a z naszego kraju mało dotąd ludzi odważyło się puścić w Tatry, wyobrażając sobie podróż do nich z jakiemś niebezpieczeństwem połączoną. Dotąd udawali się tam ludzie naukowi, artyści, lubownicy pięknéj natury lub potrzebujący świeżego powietrza dla poratowania zdrowia; także młodzież starsza dla rozrywki w czasie wakacyi. Trafiali się czasem i tu-

ryści w właściwem tego słowa znaczeniu, lecz ci wracali z tamtąd z przesadnemi opowiadaniami, niedającemi właściwego pojęcia o Tatrach. Jest to jeszcze dla ogółu kraina nieznana, tajemnicza." Przewodnik pana Eljasza odkrywa nam tę tajemnicę przedstawiając we właściwym świetle jéj historyę, piękno i bogactwo. Prócz tego pan Eljasz ułatwia podróżującemu zwiedzanie tych miejsc, gdyż w opowiadaniu idzie z nim z chaty do chaty, z góry w dolinę, wskazując co jest godnem widzenia i w jaki sposób do zwiedzenia wziąść się należy. Pan Eljasz niepoprzestał na prostem opowiadaniu, ozdobił je jeszcze 22 drzeworytami, przedstawiającemi typy ludu górskiego i miejsca godniejsze uwagi. Jest to publikacya cenna, nietylko ze względów praktycznych ale i artystycznych — tem cenniejsza, że bodaj pierwsza w literaturze naszéj. — Jako próbkę przewodnika, dajemy czytelnikom dwie ryciny: jedną, przedstawiającą mieszkanie w Tatr'ach i drugą, Szałas pasterski w Tatrach. W tych słowach maluje nam je pan Eljasz:

„Nie można się tu spodziewać hoteli ani domów zajezdnych na usługi publiczności, bo dwie karczmy: jedna drewniana koło kościoła Zakopańskiego, a druga murowana w Kuźnicach służyć może tylko na przypadkowy nocleg, lecz za to gospodarze Zakopańscy chętnie wynajmują swoje domki na mieszkanie przybyłym gościom, mieszcząc się sami przez ten czas w jakiéj tylnéj izdebce. Od kilku lat jednak zamożniejsi górale zaczęli stawiać obszerne domy gościnne, wyłącznie ku temu poświęcone, lecz bez żadnéj obsługi, gdzie gość samemu sobie zostawiony. Mieszkanie w chatach włościańskich ogranicza się na jednéj obszernéj, czystéj izbie, lub dwóch sobie podobnych, przeciwległych, przedzielonych sienią. Pojawiają się od pewnego czasu, za przykładem Macieja Sieczki, izdebki na piąterku, zwaném tu zwyżką, także gościom do wynajęcia stosowne. Płaci się z mieszkania wraz z obsługą miesięcznie od 6 do 10 i 1› guldenów, stosownie do obszerności i wymagań wprowadzającego się gościa; cena się podwyższa przy najmie na czas krótszy n. p. na tydzień płaci się od $1\frac{1}{2}$ gld. do 2 gld.; pożądańsi są tu goście dłużéj bawiący, bo są stali i ciągłego dostarczają zarobku lub kupna.

Izb do wynajęcia w Zakopaném koło kościoła jest przeszło 50, a na Bystrém 9; wszystko to w 35 domach oprócz gościnnych pokoi w Jaszczurówce.

Okna w chatach tatrzańskich są zawsze na południe zwrócone i okratowane, drzwi mocne, z dobremi zamkami, lecz niskie, iż nieprzyzwyczajeni do tego przy wchodzeniu lub wychodzeniu schylać się musimy, zapomnienie zaś bolesnemi uderzeniami w wierzch głowy opłacając.

Ponieważ góral sam sobie budowniczym i wszelakim majstrem bywa, więc też w mieszkaniu jego nie trudno o łóżka, ławki, stół, stołki, półki na ścianach i t. d. Z pościeli dostarczają grubych prześcieradeł na pokrycie siana i kilka poduszek, ze sobą jednak trzeba wziąć kołdry lub koce, poduszki zwykłe lub skórzane.

Opału do botowania dostarcza gospodarz, lecz przy dłuższym pobycie dobrze dać sobie kupić drzewa na sążnie lub fury. Pełna fura czyli wózek góralski drzewa młodego kosztuje mniéj więcéj 80 centów, zaś sążeń drzewa w łupkach 4 guld. Kto bawi z całą rodziną miesiąc cały w Zakopanem, to mu pół sążnia drzewa suto na wszelki opał starczy.

Obsługa jest tam łatwa i chętna; jeźli rodzina gospodarza liczna, to jest się kim posłużyć, gdy jéj zaś brak, to z sąsiednich chat zaraz się znajdą dziewuchy do obsługi za bardzo taniem wynadgrodzeniem, czego przykład widzimy, że po żętycę o milę w góry do szałasu gotowa każda za 10 centów biegnąć tak chyżo, aby ją jeszcze ciepłą przynieść.

Nowy nabywca Zakopańskich dóbr, jak mnie wieści doszły, ma zamiar budować domy gościnne z wszelkiemi wygodami, co jeżeli się sprawdzi, będzie bardzo pożądanym nabytkiem, bo ściągnie do Tatr takich gości, których brak wygód odstrasza od podróży w nasze Alpy.

Zwiedzając Tatry, napotyka się wszędzie na szałasy krowie i owcze; często jeszcze szałasu nie widać, a już odgłos szczekania psów owczarskich zdradza istnienie osady pasterskiéj.

Na świętego na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha:
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy.
Stary baca rej im wodzi.
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi,
Każdy potok i manowiec.
(Winc. Pol.)

Witają gości bardzo uprzejmie pasterze zwani tu juhasami jak i ich zwierzchnik bacą, który jest całego szałasu gospodarzem. Wdają się w rozgowory o wszystkiém; najprzód ciekawi wiedzieć, zkąd podróżny przybywa i co słychać w świecie; proszą do swojéj szopy zwanéj szałasem, częstując żętycą, jaką mają, świeżą, gorącą lub zimną, a nawet i kwaśną, która lepiéj smakuje wielu osobom dla nasycenia pragnienia.

Po odpoczynku ruszając daléj w drogę, wypada gościowi odsłużyć się szałaśnikom za przyjęcie żętycą albo datkiem małym pieniężnym na tytoń zwany habryką, albo samym tytoniem lub cygarami. Odchodzących podróżnych żegnają szałaśnicy szczerem pozdrowieniem: Boże was prowadź!"

Kończąc opowiadanie, poczuwamy się do obowiązku wyrażenia podziękowania Nestorowi nakładców naszych, panu J. K. Żupańskiemu, za łaskawe udzielenie rycin.

Szarada.

Pierwsze litera, a drugie w muzyce,
Trzecie zaś wielki człowiek w Ameryce.
Wszystko uchodząc złéj doli
Na obcéj ziemi przemieszkiwać woli.

(Rozwiązanie szarady w nr. 38: (**Palikao.**)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Antoniemu Kr. w Chełmnie: Odpowiadamy Panu wierszem jego:

„Przestań skowronku, przestań te śpiewy.!
„Spojrzyjno na łez naszych wylewy......!!!"

Panu B. E. w Inowrocławiu: Niezdatna. Panu M... w... Wiersze nadesłane pod tytułem: Wiersz i Prawda i w Imienniku drukowane nie będą. Panu Rościszewskiemu w Wiekich Łękach p. Punitz: Dziękując za nadesłany utwor, upraszamy pana o nazwę autora. Panu Mrocz: w Bruxelli: Żałujemy, że zakres pisma naszego nie pozwala umieścić pracy z takim talentem napisanéj. — Przypuszczamy, że inne pisma chętnieby ją nabyły — proponujemy n. p. Bibliotekę Warszawską. — Manuskryp dziś na pocztę oddaliśmy.